

OPOWIEŚĆ O ŻYCIU STANISŁAWA KOSTKI

18 września 2019 | Historia, Polecane, Rok św. Stanisława Kostki

Opowieść o życiu Stanisława Kostki

– Postępował jak anioł z nieba. Był wyjątkowo pokorny, gardził honorami, światem i samym sobą, spełniając z wielkim oddaniem najniższe posługi domowe, ukrywając swoje szlachectwo i talenty, które otrzymał od Boga – pisał o młodym nowicjuszu z Polski ojciec Giulio Fazio.

Fragment książki „Męka i Chwała”

MIĘDZY WARSZAWĄ A BAŁTYKIEM

Rostków jest dziś małą wioską, która uniknęła industrializacji, położoną w odległości czterech kilometrów od Przasnysza, między Warszawą a wybrzeżem Bałtyku. Mały kościół parafialny zajmuje miejsce dawnego drewnianego oratorium rodziny Kostków. Obok niego pusty teren – tam niegdyś stał rodzinny dom Stanisława Kostki.

Miejscowość leży na Mazowszu, niegdyś dosyć niezależnym księstwem. Jego mieszkańcy to Mazurzy. Słowo ma ten sam rdzeń co mazurek – utwór muzyczny, któremu nieśmiertelność zapewnił wybitny syn Mazowsza Fryderyk Chopin.

Stanisław na chrzcie w grudniu 1550 r. otrzymał imię po swym dziadku ze strony ojca. Ceremonia miała miejsce w kościele parafialnym św. Wojciecha w Przasnyszu, chociaż Rostków należał do parafii Węgra. Po chrzcie Andrzej Radzanowski, chrzestny, wziął chłopca w ramiona i w otoczeniu całej rodziny złożył u stóp ołtarza z Najświętszym Sakramentem. Wszyscy obecni odmówili modlitwę, ofiarując dziecko Bogu. Była to tradycja, a nie jakiś szczególny gest, jak sądzono później.

Ojcem dziecka był Jan Kostka. Nie tylko on nosił to nazwisko. Było wielu innych pośród szlachty i niemal wszyscy oni nosili tytuł wojewody. Pierwotnie nazwisko brzmiało Rostkowski i wywodziło się od Rostkowa. Zmiana nastąpiła przy dziadku, Jakubie Rostkowskim.

Drugi syn hrabiego Jakuba Kostki, Stanisław, rozstawił rodzinę Kostków w tamtych czasach. Nie miał wyższego wykształcenia, ale doszedł do pełnienia ważnych stanowisk. Jan Kostka był jego synem i miał tytuł kasztelana zakroczymskiego. Był senatorem królestwa i wydaje się, że nie tylko zajmował się zarządzaniem posiadłością w Rosikowie, lecz również eksportem produktów regionalnych przez port gdański. Nie należał do najbogatszych, ale miał wystarczające środki, by zapewnić rodzinie wygodne życie, odpowiadające randze jej stanu. Mógł na przykład godnie przyjąć w swoim domu kardynała Hozjusza i miał liczną służbę. Przy tym wszystkim życie w tej odległej wiosce było proste.

Matką Stanisława była Małgorzata z Kryskich. Jej ojciec, dziadek i pradziadek byli wojewodami płockimi, a brat Wojciech podkomorzym płockim, starostą dobrzyńskim, sekretarzem króla Zygmunta II i jego wysłannikiem do papieża, do cesarza austriackiego Ferdynanda I i do królów Hiszpanii i Anglii.

DZIECIŃSTWO

Para miała czterech synów i córkę. Najstarszy był Paweł, a drugi z kolei młodszy i dwa lata Stanisław. Pisząc 12 lipca 1606 r., trzydzieści osiem lat po śmierci Świętego, Paweł stwierdzał, że jego młodszy brat był bardziej bystry i silniejszy niż on i pozostali bracia, „którzy wszyscy umarli oprócz mnie”. Relacje Stanisława ze starszym bratem nie były wcale łatwe, przynajmniej podczas lat spędzonych w

Wiedniu. Stanisław był od brata silniejszy fizycznie, ale Paweł posiadał dominujący charakter. Zawsze chciał narzucać swoje zdanie.

Od Pawła wiemy, że atmosfera w domu była dosyć surowa. „Nasi rodzice wychowali nas w wierze chrześcijańskiej, pouczali o dogmatach katolickich i nie chcieli, byśmy oddawali się przyjemnościom. Byli bardzo wymagający wobec nas. Osobiście lub przez służbę nakłaniali nas, byśmy byli skromni, pobożni i uczciwi, by nikt nam nie mógł niczego zarzucić. Wszyscy mogli nas napominać, a my szanowaliśmy ich jak naszych nauczycieli”.

Nie było bez znaczenia, że Kostkowie trwali mocno w wierze katolickiej i wychowali w niej swoje dzieci. W kraju protestantyzm szerzył się w sposób alarmujący. Liczono już na setki zbory protestanckie, do tej pory nieznane. Jedna szóstka szlachty, wcześniej bardzo katolickiej, przeszła na protestantyzm. Pośród posłów do sejmu pięćdziesięciu ośmiu zajmowało pozycje antykatolickie, a jedynie pięćdziesięciu pięciu było katolikami. W tamtych latach kardynał Hozjusz nazwał swoją ojczyznę „azylem heretyków”.

Nie podając jednak w wątpliwość, że rodzice św. Stanisława wychowali religijnie swoje dzieci, fakty przemawiają za tym, że nie była to religijność zbyt głęboka. Sugerują to szczegóły: to, że Stanisław nie przypominał sobie, czy otrzymał bierzmowanie, także jego przekonanie, że rodzice nie pozwolą mu wstąpić do Towarzystwa, a ponadto gwałtowna reakcja ojca, sprzeciwiającego się jego powołaniu. Ta sama racja przemawia za podważeniem prawdziwości nadzwyczajnego faktu, który prawdopodobnie wymyślono, aby wypełnić – zgodnie z gustami tamtej epoki – brak takich wydarzeń w dzieciństwie świętego, że jeszcze przed porodem mama Stanisława widziała na swym łonie wyryte litery IHS. Gdyby tak było i gdyby te cudowne znaki miały miejsce – co zakładało wielką religijność protagonistów – czy aż tak gwałtownie by się sprzeciwili jego zakonnemu powołaniu?

Niewątpliwie z punktu widzenia moralnego środowisko rodzinne było nienaganne, co nie przeszkadzało, że goście zgodnie z tradycją pili nieźle i okraszali swoje rozmowy niewybrednymi żartami i opowiadaniem. Paweł wspominał po latach, co działo się przy tych okazjach: „Gdy przy stole opowiadano coś niestosownego, mój braciszek wznosił oczy ku niebu i mdlał. Nie padał na podłogę i nie robił sobie krzywdy, ponieważ zawsze ktoś spieszył mu z pomocą. Wszyscy o tym wiedzieli i dziwili się”. Niewątpliwie jest przesada w tym świadectwie i jeszcze jeden dowód skłonności do idealizowania faktów.

Świadectwo Stanisława o własnym dzieciństwie jest bardziej cenne niż te wszystkie historie. Nie uciekając się do spektakularnych znaków, Bóg przemawiał do Stanisława, a on odpowiadał na otrzymaną łaskę. „W pierwszej modlitwie, jaką sobie przypominam, ofiarowałem się bez reszty na służbę Bogu” – tak powiedział po latach w Rzymie. Czyż to nie wystarczy?

PIERWSZY PORTRET

W roku 1560, gdy miał dziesięć lat, zrobiono mu portret, który się zachował. Nie znamy malarza, ale autentyczność obrazu nie ulega wątpliwości. Restauratorzy Muzeum w Luwrze usunęli warstwę dodaną w tym celu, by ubrać Stanisława w jezuicką szatę, a renowacja odsłoniła harmonię między strojem i twarzą. Pod egzotyczną czerwoną czapką ukazuje się okrągła twarz z ostrym podbródkiem, wydatnymi kośćmi policzkowymi, wielkimi i inteligentnymi oczami, nieco płaskim nosem, szerokimi ustami i grubymi wargami.

Paweł i Stanisław pobierali razem pierwsze nauki. Wydaje się, że mieli utytułowanych nauczycieli z Krakowa, chociaż nie znamy ich nazwisk. Tak było do roku 1562, w którym Stanisław skończył dwanaście lat. Wtedy na scenę wkracza nieco problematyczna postać, z którą będzie miał do czynienia w następnych czterech latach: chodzi o Jana Bilińskiego (Bielińskiego, jak pisze), absolwenta

Akademii Krakowskiej, który był institutor seu inspector morum et doctrinae -odpowiedzialny za wychowanie i naukę dwóch braci. Był nim przez rok w Rosikowie i trzy lata w Wiedniu.

Znany niektóre książki, jakimi Stanisław wówczas się posługiwał, ponieważ zachowały się ich egzemplarze. Są to: Hortulus animae – pobożna książka; Heptalogus in VII festivitates Beatae Mariae Virginis – zawierał siedem krótkich traktatów o siedmiu głównych świętach maryjnych, oraz – co najbardziej zaskakujące – Moriae encomium {Pochwała głupoty} Erazma z Rotterdamu. Egzemplarz tej książki nosi własnoręczny podpis Stanislaus Kostka, co stwierdziło wielu grafologów.

Na wiosnę 1564 r., gdy Stanisław skończył trzynaście lat, a jego brat piętnaście, wszystko było gotowe do wyjazdu dwóch braci wraz z wychowawcą do Wiednia, by kontynuować naukę.

UCZEŃ JEZUITÓW W WIEDNIU

Dotarli na miejsce 26 lipca. Poprzedniego dnia zmarł cesarz i król rzymski Ferdynand I, wielki protektor jezuitów. Już sam Wiedeń musiał wyrzucić wrażenie na przyjezdnych, a co dopiero uroczystości pogrzebowe cesarza.

Nie przybyli sami. Towarzyszył im mały orszak odpowiadający ich pozycji społecznej. Oprócz Bilińskiego, który miał nad nimi władzę jako wychowawca, przybyli dwaj służący, a jeden z nich, Lorenzo Pacifici, zasiądzie z nimi w klasie i będzie się uczył. Orszak uzupełniał kamerdyner. Chociaż grono studentów było międzynarodowe – kolegium i konwikt przyciągały uczniów z ościennych krajów – czuli się jak u siebie w domu od pierwszego dnia. Rok 1564 zapisał się w kronikach instytucji ze względu na inwazję Polaków – przyjęto czterdziestu uczniów z Polski.

Program nauki Stanisława obejmował gramatykę, humaniora i retorykę. Personel jezuicki liczył czterdziestu dwóch członków: szesnastu kapłanów, czternastu scholastyków służących również jako prefekci i dwunastu braci spełniających funkcje domowe. Ojciec Nicholas Doni był prefektem studiów i kierownikiem duchowym przyszłego świętego. Ojciec Albert Tobolski, Polak, był profesorem humaniorów i miał bliski kontakt ze Stanisławem. Theodor Buys uczył go retoryki, a Bartholomeus Willer był prefektem konwiktu.

Wszystko układało się dobrze przez pierwszych osiem miesięcy, gdy konwikt lub internat funkcjonował w pięknym budynku, przekazanym na ten cel przez Ferdynanda I. Panowała w nim dyscyplina, a środowisko było poważne. Stanisław przystosował się bez problemów, chłonał wiedzę zarówno szkolną, jak i pouczenia duchowe, przekazywane w osobistych rozmowach i publicznych konferencjach, a także zaprzyjaźnił się z wieloma uczniami.

POCZĄTEK BURZY

Jednak w marcu 1565 r. Maksymilian II, syn króla fundatora, zażądał zwrotu budynku, w którym mieścił się konwikt, i trzeba go było rozwiązać. Część uczniów mogła szukać mieszkania w Wiedniu. Inni musieli powrócić do swych krajów. Paweł otrzymał znakomitą ofertę: dom położony w centrum, bardzo blisko kolegium, do którego mieli nadal uczęszczać. Było miejsce dla dwóch braci, Bilińskiego, dwóch służących i kamerdynera oraz dla czterech innych uczniów z Polski, z których dwaj byli kuzynami Kostków. Właścicielem był senator Kimberker, zajadły luteranin.

Stanisław wyraził sprzeciw. Wolałby skromniejszy dom, w spokojniejszym miejscu, bardziej odpowiadającym nauce. Paweł przerwał mu ostro:

– Braciszku, pójdiesz tam, gdzie ja zadecyduję.

Tak więc w sytuacji Stanisława wszystko uległo zmianie. Teraz rządził brat, który zaczął zachowywać się jak dyktator. Biografie świętego mogły przesadzić, ukazując Pawła jako groźną postać. Jednakże on sam pod koniec życia wyznał, że prześladował brata, i bardzo tego żałował.

Walka rozegrała się w trzech fazach: pierwsza trwała dwadzieścia jeden miesięcy, od marca 1565 do grudnia 1566 r.; druga to krótki rozejm, trwający dwa lub trzy tygodnie, poczynając od 18 grudnia 1566 r.; trzecia trwała od uzdrowienia Stanisława aż do jego ucieczki z Wiednia w niedzielę 10 sierpnia 1567 r.

DRAMAT W TRZECH AKTACH

Akt 1: Otwarta wrogość. Według relacji Pacificiego codziennie dochodziło do nieporozumień między braćmi. Stanisław wyrażał stale sprzeciw sumienia, nie podporządkowując się dyktatom starszego brata. Ten wpadał w gniew i wypowiadał obelżywe słowa. Biliński, zamiast bronić Stanisława, stawał całkowicie po stronie hulaków.

Towarzysze mieszkania hulali również w nocy. Jeden z nich, kuzyn Rozrarezewski, opowiada, że Stanisław wstawał o północy i klękał do modlitwy. Pozostali udawali, że śpią, a gdy już widzieli go klęczącego, wstawali, potykali się o niego, udając, że go nie zauważyli, deptając go i kopiąc. To była ulubiona zabawa, a Rozrarezewski wspomina, że czynił to wielokrotnie. Stanisław nigdy się nie poskarżył.

Przyszedł dzień 4 grudnia 1566 r., święto św. Barbary, drugiej patronki Sodalicji Mariańskiej, do której należał Stanisław. Nie była to polska święta, ale żywił do niej szczególne nabożeństwo, bo była patronką dobrej śmierci. Święto poprzedziło triduum duchowego przygotowania i skupienia, panegiryk, akademie szkolna i dzieła miłosierdzia.

Akt 2: Rozejm. Rano 18 grudnia 1566 r. Stanisław zachorował. Wszyscy wstali, a on pozostał w łóżku. Według Bilińskiego chodziło o epidemię, ale wydaje się, że nie było jej wówczas. Lorenzo Pacifici uważał, że przyczyną choroby były jego praktyki pokutne oraz intensywna nauka. Mogło mieć na to również wpływ napięcie, w jakim żył.

Zaczął majaczyć. Widział wielkiego, czarnego i rozwścieczonego psa, rzucającego się mu do szyi. Przeżegnał się jednak i pies zniknął.

Paweł przestraszył się, podobnie jak kuzyni i towarzysze, a także Biliński. Zmienili swoją postawę, zapomnieli o urazach i zaczęli go pielęgnować. Biliński czuwał przy nim siedem nocy pod rząd.

Chory miał jednak – i wyraził – pragnienie, którego nikt nie odważył się spełnić: chciał przyjąć komunię świętą. Z pewnością senator Kimberker nie pozwoliłby, by do jego domu przyniesiono Najświętszy Sakrament. Stanisław zaczął się modlić i spełniło się jego pragnienie. On sam opowiedział o tym swojemu współnowicjuszowi w Rzymie Stefanowi Augustiemu, który często namawiał go, by nauczył się języka włoskiego.

Zbliżało się święto św. Barbary i Stanisław powiedział do niego:

– Bracie Stefanie, ileż zawdzięczam Bogu i tej męczennicy!

– Wszyscy jesteśmy winni wdzięczność Bogu. Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego świętej Barbarze.

Po chwili wahania Stanisław powiedział w końcu:

– Pewnego razu byłem chory w domu heretyka i chciałem przyjąć komunię. Poleciłem się tej świętej i pokazała się w moim pokoju z dwoma aniołami, którzy przynieśli mi Najświętszy Sakrament, a ja przyjąłem go z wielką radością.

Biliński podaje więcej szczegółów. Wydawało się, że tamta noc będzie ostatnia w życiu chorego. Wszyscy się wycofali oprócz Bilińskiego, który czuwał przy chorym. Stanisław był spokojny, przytomny i sprawiał wrażenie zajętego sprawą nieba, gdy nagle zerwał się z nieludzką siłą, wyprostował na łóżku i powiedział mocnym głosem:

– Proszę uklęknąć, święta dziewica Barbara nadchodzi z nieba z dwoma aniołami, a jeden z nich przynosi mi Ciało mojego Pana, Jezusa Chrystusa.

Głęboko się skłonił, uklęknął na łóżku, wypowiedział trzy razy: Domine, non sum dignus – Panie, nie jestem godzien, otworzył usta i wyciągnął język, aby przyjąć komunię.

Stanisław nadal ciężko chorował, bez nadziei na wyzdrowienie. Biliński czuwał przy nim nocami, ale pewnego razu był już tak zmęczony, że poprosił służących, by go zastąpili. Przespał całą noc. Obudziwszy się nad ranem, udał się do pokoju chorego. Drzwi były uchylone, a służący spali głęboko. Lampa oświetlała drzwi, chory zauważył Bilińskiego i poprosił go, by wszedł.

– Dzięki świętej Barbarze odzyskałem zdrowie.

Biliński myślał, że majaczy. Ale gdy się zbliżył, stwierdził, że jest w pełni zdrowy. Stanisław chciał pójść do kościoła, by podziękować Bogu, ale Biliński oznajmił, że nie może na to zezwolić bez zgody lekarzy. Lekarze przyszli wcześniej rano, przebadali go i stwierdzili, że wbrew oczekiwaniom cieszy się doskonałym zdrowiem. Jedynie z ostrożności poradzili, by pozostał w łóżku jeszcze kilka dni.

Akt 3: Rewanż. Skoro tylko mógł opuścić dom, Stanisław poszedł na rozmowę ze swoim kierownikiem duchowym, ojcem Nicholasem Donim, i przekazał mu coś, czego nie powiedział Bilińskiemu. Gdy środki przepisane przez lekarzy okazały się nieskuteczne, ukazała mu się Najświętsza Maryja Panna i położyła Dziecię Jezus w jego ramionach. Po tym widzeniu miało miejsce natychmiastowe uzdrowienie. Ponadto Maryja mu powiedziała: „Pragnę, byś wstąpił do Towarzystwa Jezusowego”. Co miał zrobić, aby odpowiedzieć na tak oczywiste powołanie?

Doni skierował go do prowincjała austriackiego Lorenza Maggiego, który odmówił przyjęcia bez zgody rodziców. Stanisław się nie poddał i zwrócił się do kardynała Commendone, przedstawiciela papieskiego na dworze cesarskim. Kardynał, wytrawny dyplomata, odpowiedział, że nie może interweniować, biorąc pod uwagę niemal pewne negatywne stanowisko jego ojca. Te drzwi zostały zamknięte, ale Stanisław zapukał do następnych: do ojca Francisca Antonia, portugalskiego jezuitę, który był w Wiedniu spowiednikiem cesarzowej. Owoc starań nie był całkowicie negatywny. Ojciec Antonio bez wahania zaaprobował plan Stanisława, by udać się do innych jezuitów prowincji, skoro austriacka go nie przyjęła. Uzgodnili, że wyruszy na zachód lub południe, w zależności od sytuacji. Zacznie od Prowincji Niemieckiej, której prowincjałem był ojciec Piotr Kanizjusz.

Tymczasem po odzyskaniu zdrowia przez młodszego brata Paweł powrócił do złych nawyków, a jego wrogość stała się jeszcze bardziej zacięta. Karcił go za skupienie, posty, modlitwy, surowy tryb życia, a zwłaszcza za chodzenie do kościoła i przebywanie w towarzystwie jezuitów. Nie powinien unikać wysoko urodzonego towarzystwa, bo przecież nie był mnichem.

Biliński podzielał tę opinię. Rodzice wysłali syna do Wiednia, by nauczył się odpowiednich manier i zachowania w towarzystwie. Powinien się dostosować do światowych zasad.

Sprawy zaszły tak daleko, że biedny chłopiec nie mógł się pokazać przy swoim bracie, który go znieważał. Nazywał go egzaltowanym, nieokrzesanym, fanatykiem oraz – to była najgorsza zniewaga – jezuitą! Od słów przechodził do przemocy fizycznej. Rzucił go na ziemię, bił i kopał. Potem go zostawiał, znieważając słowami:

– Wstydzę się, że jestem twoim bratem; wypieram się ciebie, nędzniku.

DRASTYCZNA DECYZJA

Stanisław nie narzekał, ale przygotował strategię. Czekał na okazję, aby uciec z tego piekła i osiągnąć cel, jakim było wstąpienie do Towarzystwa. Chciał udać się do Augsburga na południu Niemiec, by spotkać się z ojcem Kanizjuszem, prowincjałem niemieckim. Opuści Wiedeń w niedzielę, 10 sierpnia. Dni były długie. Miałyby 14 godzin na marsz, a ponieważ była to niedziela, jego nieobecność mogła pozostać niezauważona.

Poczynił przygotowania: kupił siermiężną szatę, kapelusz z szerokim rondem i pielgrzymi kij. Postarał się również o dwa listy polecające: jeden do ojca prowincjała Kanizjusza, a drugi – na wszelki wypadek – do ojca generała Franciszka Borgiasza.

Okazja nadarzyła się sama. Doszło do kolejnej sceny znieważania. Ale tym razem Stanisław się postawił. Pokazał, że ma wszystkiego dość, i stając przed Pawłem, powiedział spokojnie, ale zdecydowanie:

– Jeśli nadal będziesz mnie tak traktował, będę zmuszony odejść. Ty zaś będziesz musiał wytłumaczyć rodzicom, dlaczego odszedłem.

Jeśli Pawła zaskoczyła taka nagła zmiana postępowania brata, nie dał tego po sobie poznać. Krzyknął: – Idź sobie, zniknij mi z oczu.

Stanisław miał pretekst, by zniknąć. Następnego dnia, 10 sierpnia, wcześniej rano obudził Lorenza Pacificiego. Powiedział mu, że spędzi cały dzień poza domem, a więc nie powinni czekać na niego z obiadem. I wyruszył.

NA PIECHOTĘ PO DROGACH EUROPY

Najpierw uczestniczył w Mszy odprawionej przez ojca Antonia i przyjął komunię. Pierwsze promienie słońca zastały go dosyć daleko od bram miasta. Maszerował żwawo w stroju pielgrzyma. Punktem docelowym był Augsburg, więc musiał przemierzyć całą Austrię, od wschodu do zachodu. Opuszczona stodoła posłużyła mu za schronienie.

Dokładnie, jak przewidział, brat i towarzysze nie byli świadomi jego zniknięcia przed zapadnięciem nocy, a on miał już za sobą cały dzień drogi. Paweł i Biliński podnieśli alarm i zaczęli poszukiwania. Wcześniej rano w poniedziałek udali się do kolegium i pytali o brata. Nikt nie mógł im udzielić informacji.

Gdy stało się jasne, że uciekł i w jakim kierunku, chcieli do niego dotrzeć, ale okazało się to niemożliwe. Stanisław był już daleko, a idąc pieszo, mógł zejść z głównej drogi i zmierzać na skróty, unikając ścigających go.

Po piętnastu dniach intensywnego marszu dotarł zmęczony do Augsburga. Jezuici przyjęli go bardzo życzliwie, ale powiadomili, że ojciec prowincjał przebywa w Dylindze. Prosili go gorąco, by pozostał kilka dni i odpoczął, ale on wolał kontynuować podróż, chcąc osiągnąć cel. Czekali go jeszcze dwa dni drogi.

Dylinga stanowiła rezydencję biskupa elekta Augsburga, kardynała Ottona von Truchsess, który nie potrafił się obejść bez ojca Kanizjusza. Wznoszono mury nowego budynku uniwersytetu i kościoła, powierzonych Towarzystwu, i nierzadko widziano Kanizjusza na placu budowy dyskutującego plany. Nie było mu trudno oderwać się od swoich zajęć i skupić uwagę na problemie, z jakim przybył młody piechur. Zorientował się w sytuacji i poprosił go, by pozostał kilka dni. W tym czasie będą mogli spokojnie porozmawiać, a Stanisław jako kandydat do Towarzystwa zostanie przeegzaminowany.

Stanisław bez żadnych trudności przystosował się do programu, jaki mu zaproponowano, podejmując się prac domowych, a także zachowując porządek dnia wspólnoty, godziny przeznaczone na modlitwę. Po stwierdzeniu jego zdadności pozostawał do rozwiązania najtrudniejszy problem: czy rzeczywiście go przyjąć, czy też czekać na pozwolenie rodziny, a jeżeli przyjąć zaraz, to gdzie. Kanizjusz zdecydował się go przyjąć, ale zgodził się na propozycję samego kandydata, by postać go do Rzymu. Niemcy leżały zbyt blisko Polski. Uzgodniono, że najpierw uda się do Monachium, a stamtąd podejmie podróż z dwoma innymi jezuitami – z Giacomo Levancio z Genui i Fabricio Reynerem z Liège.

Wyruszyli 25 września, a podróż zajęła im cały miesiąc. Dotarli 25 października. Droga Stanisława – Wiedeń-Augsburg-Dylinga-Monachium-Rzym – przekraczała tysiąc pięćset kilometrów. Całą przeszedł piechotą.

RZYM

Borgiasz został już powiadomiony. Ojciec Kanizjusz napisał do niego 18 września, zapowiadając przybycie dwóch jezuitów i dodając: „Możliwe, że dołączy do nich Stanisław Kostka, młody Polak, dobry i szlachetny, który chce przyjąć nasz Instytut, chociaż wbrew woli rodziców”.

List polecający, jaki miał ze sobą i wręczył Borgiaszowi, brzmiał:

„List ten posyłam Wielebnemu Ojcu przez Stanisława Kostkę, Polaka, szlachcica z krwi, a jeszcze bardziej dzięki cnotom; niewielkiego wzrostu, ale wielkiego duchem; młodzieńczego wieku, ale dojrzałego roztropnością; kochanego przez wszystkich, niebędącego przykrym dla nikogo. Pragnął wstąpić tutaj do Towarzystwa, ale przełożeni nie zgodzili się go przyjąć z obawy przed rodzicami i ponieważ uczył się u nas, chociaż był najlepszym ze współuczniów i dzień i noc prosił o przyjęcie do Towarzystwa. A widząc zamknięte drzwi, daje taki przykład wytrwałości i pobożności, że udaje się do innych prowincji z tym zamiarem, by dotrzeć do stóp Wielebnego Ojca, gdyby go gdzie indziej nie przyjęto, oczekując, że spełnią się jego wielkie pragnienia, jak na to zasługuje, a ja proszę i błagam Waszą Wielebność, ufając Bożej Dobroci, że będzie on szczególną ozdobą Towarzystwa, a zapowiadają to tak chwalebne początki.

Wiedeń, 10 sierpnia 1567.

Pokorny syn Waszej Wielebności Francisco Antonio”

Ponieważ młody przybysz był wyczerpany, na prośbę Borgiasza zaopiekował się nim Stefano Augusti, który ponadto zaczął go uczyć włoskiego.

Stanisław został przyjęty do Domu Profesów del Gesii i tam rozpoczął nowicjat 28 października, trzy dni po przybyciu do Rzymu. W tym dniu został wpisany do rejestru. Na stronie 182 „Księgi Nowicjuszów przyjętych do domu profesów w Rzymie od 1556 do 1569 roku” widnieje notka: „Przyniósł ze sobą krótki płaszcz z aksamitnym kołnierzem”. W innej księdze kandydat deklarował, że od dwóch i pół roku miał zamiar wstąpić do Towarzystwa, a więc zdecydował się sześć miesięcy po przybyciu do Wiednia.

Podobnie jak w Wiedniu, i tu znalazł się w międzynarodowej wspólnotie, w której było również sporo Polaków. Z ośmiu nowicjuszów, którzy wstąpili wtedy w październiku i listopadzie, oprócz Stanisława było pięciu Polaków. Wśród nowicjuszów był już od trzech miesięcy przyszły generał Claudio Acquaviva oraz przyszły męczennik Rudolf Acquaviva, który wstąpił do Towarzystwa nieco wcześniej, 2 kwietnia.

Po jakimś czasie spędzonym w domu del Gesii Stanisław został tymczasowo posłany do Collegio Romano. Zgodnie ze swoją polityką Borgiasz założył nowicjat u Świętego Andrzeja na Kwirynale, gdzie

nowicjusze stanowili oddzielną wspólnotę i lepiej można im było towarzyszyć. Tam też Stanisław przeniósł się na początku 1568 r.

NOWICJUSZ – DZIEWIĘĆ I PÓŁ MIESIĄCA

Magistrem nowicjuszów był ojciec Giulio Fazio, który napisał wspomnienie pośmiertne w duchu swojej epoki. Styl i wyrażenia mogą być anachroniczne, ale fakty niewątpliwie miały miejsce i trzeba je przyjąć.

„Postępował [Stanisław Kostka] jak anioł z nieba. Był wyjątkowo pokorny, gardził honorami, światem i samym sobą, spełniając z wielkim oddaniem najniższe posługi domowe, ukrywając swoje szlachectwo i talenty, które otrzymał od Boga. Jego skromność była podziwu godna, jego posłuszeństwo najbardziej dokładne, a zawsze był radosny i miły. Dla innych był łagodny, tylko wobec siebie wymagający i surowy. Nie wypowiedział nigdy żadnego słowa nierozważnego, niepotrzebnego i niewłaściwego, dostosowując całe swoje postępowanie do reguły. Modlił się nieustannie, łączył pracę z kontemplacją, mając przed oczyma Boga we wszystkim, co robił. Jego rozmowy dotyczyły szczególnie dwóch tematów. Pierwszy: Najświętsza Maryja Panna; zawsze nazywał Ją Matką i Panią. Drugim tematem było jego powołanie do Towarzystwa, które tak bardzo sobie cenił, że brakowało mu słów, aby wszystko wypowiedzieć”.

WSPÓŁNOWICJUSZE

W nowicjacie zaprzyjaźnił się bardzo ze Stanisławem Warszewickim, który znał jego rodzinę i któremu zwierzył się z wielu swoich duchowych doświadczeń. Podziwiał go Rudolf Acquaviva, który w 1576 r. wyruszył na Wschód z przyszłym męczennikiem japońskim Karolem Spinolą, Matteo Riccim i innymi jedenastoma jezuitami. Uwielbienie, jakie okazywał Rudolf dla swojego dawnego towarzysza, było tak wielkie, że doprowadził do ekshumacji jego ciała. Znalaziono je nietknięte.

Claudio Acquaviva miał za zadanie dawać mu puncta do medytacji, a niekiedy towarzyszył mu w pracy w kuchni, w której podlegali rozkazom brata zakonnego kucharza. Brat kazał im nanosić drewna na opał, ale nie brać za dużo naraz. Acquaviva brał więcej, niż wynikało z polecenia, i skończył wcześniej. Potem rządził jako generał ponad trzydzieści cztery lata, „zanim otrzymał nagrodę” w niebie, i był to najdłuższy generałat w historii Towarzystwa. Stanisław otrzymał nagrodę po niewielu miesiącach.

Pewnego dnia pomagał w kuchni, gdy zawołano go z portierni. Miał wizytę samego kardynała Commendone, którego poznał w Wiedniu. Już zmierzał do rozmównicy, ale zatrzymano go i zwrócono uwagę, że byłoby dobrze zostawić fartuch i ubrać się odpowiednio, aby przyjąć tak godnego gościa.

WIADOMOŚĆ DOCIERA DO ROSTKOWA

W tym czasie dotarły do Rostkowa wieści o jego ucieczce i wstąpieniu do Towarzystwa. Reakcja kasztelana zakroczymskiego była niezwykle gwałtowna. „Lekkomyślnie – pisał – przyniosteś wstyd rodzinie, plamiąc znakomity ród Kostków Odważyłeś się przemierzyć Niemcy oraz Italię jak zwykły żebrak. Jeśli będziesz trwał w tym szaleństwie, nie odważ się postawić stopy w Polsce, ponieważ wydobędę cię z każdego zakątka, a zamiast złotych łańcuchów, jakie ci przygotowałem, znajdziesz żelazne łańcuchy i będziesz zamknięty tam, gdzie nie zobaczysz słońca”.

Jak można było pisać do syna z taką zaciekłością? Czytając ten list, Stanisław gorzko płakał. Odpowiedział ze smutkiem, ale spokojnie: „Mam nadzieję, że po upływie czasu spotkam się z ojcowskim uczuciem, jakie do mnie żywiłeś dotychczas”.

Jan Kostka nie poddał się. Gotów był na wszystko. Wysłał Pawła do Rzymu z poleceniem, by zabrał Stanisława i powrócił z nim do domu. Tymczasem jego młodszy brat odszedł do nieba.

Do NIEBA z MARYJĄ

Nadszedł sierpień. W tym czasie przebywał w Rzymie ojciec Kanizjusz i poproszono go, by wygłosił konferencję w nowicjacie Świętego Andrzeja na Kwirynale. Słuchało go ponad trzystu jezuitów z domów rzymskich. W swoim przemówieniu wspominał, że trzeba być zawsze przygotowanym, i podsunął myśl, żeby na początku miesiąca każdy uświadomił sobie, że to może być ostatni miesiąc w jego życiu. Stanisław był przekonany, że tak będzie w jego przypadku.

Przystąpiono do losowania patrona miesiąca. Taki zwyczaj – według relacji Borgiasza – zapożyczono od domu w Gandii. Stanisławowi przypadł 10 sierpnia, św. Wawrzyniec, męczennik. Ciekawa zbieżność: dokładnie rok wcześniej opuszczał Wiedeń i zaczynała się jego długa pielgrzymka, która doprowadziła go do Rzymu. Ileż się wydarzyło w tym czasie!

W wigilię, 9 sierpnia, napisał list do Matki Bożej, prosząc, by go zabrała do nieba w najbliższe święto Wniebowzięcia, i powierzył tę sprawę swojemu patronowi miesiąca. Podczas Mszy św. 10 sierpnia przyjął pobożnie komunię, mając pod sutanną starannie złożony list do Maryi. Do południa pomagał w „niskich posługach” w kuchni. Po południu poczuł się źle. Kładąc się do łóżka na polecenie brata infirmarza, powiedział, że umrze za kilka dni. Nikt mu nie uwierzył.

Pojawiła się gorączka, najpierw niewielka, potem wysoka, w rytmie typowym dla malarii. (Rzym znajdował się w regionie występowania moskitów. Malaria nie należała w nim do rzadkości).

13 sierpnia przeniesiono go do infirmerii, a zanim poszedł do łóżka, ponownie stwierdził, że już nie wstanie.

Nadszedł dzień 14 sierpnia. Zauważono nieznaczną poprawę. Niemniej Stanisław powtórzył, że to będzie ostatni dzień w jego życiu. I rzeczywiście, stan jego zaczął się pogarszać. Po zapadnięciu nocy lekarze stracili nadzieję i podsunęli myśl, by udzielić mu ostatnich sakramentów.

Chory przyjął wiadomość z radością i poprosił, by mu pozwolono umrzeć na podłodze. Nie zgodzono się na to, a chory nie nalegał. Ale po chwili tak spojrział na rektora, że tenże wyraził zgodę, by rozłożono materac na podłodze i położono go na nim. Była to niejako powtórka tematu w symfonii jego życia, w tym wypadku nawiązanie do sceny, gdy po chrzcie położono go przed ołtarzem Najświętszego Sakramentu w kościele parafialnym w Przasnyszu. W tej pozycji otrzymał wiatyk. Towarzyszyły mu modlitwy za umierających, na które odpowiadał z całą świadomością, dodając do odmawianej Litanii do Wszystkich Świętych imiona tych, do których miał szczególne nabożeństwo. Czuwającego przy nim brata zapytał, co robią teraz pozostali nowicjusze.

– Już udali się na spoczynek.

– Proszę ich pożegnać w moim imieniu i przeprosić za mój zły przykład i popełnione przeze mnie błędy.

W nocy 14 sierpnia, koło 22.30, twarz jego znieruchomiała i przestał oddychać. Ktoś zbliżył do jego otwartych oczu obrazek Maryi. Nie zauważono żadnej reakcji. Umarł.

Fragment książki „Męka i Chwała”

Książka opisuje ludzi, którzy tę historię tworzyli. Głównymi pretendentami do chwały są święci i błogosławieni reprezentujący ideały oraz misję Towarzystwa Jezusowego. Wśród nich znajdziemy

wybitne postaci wyróżnione przez historię, mimo że nie doczekały się oficjalnego uznania w Kościele. Zaś do męki Towarzystwa przyczyniły się ich „czarne owce” głównie z powodu ludzkich słabości.

Historia Towarzystwa Jezusowego została przyrównana do pór roku. Wiosna obejmuje początki Towarzystwa oraz jego pierwszy wzrost i trwa do 1581 roku, kiedy generałem został Klaudiusz Acquaviva. Rozpoczyna on lato – tzw. złoty wiek Towarzystwa, czyli jego rozkwit widoczny we wzroście liczebnym i geograficznym. Od 1687 roku wraz z silną opozycją antyjezuicką rozpoczyna się okres jesienno-zimowy, który trwa aż do kasaty Zakonu w 1773 roku oraz próby przetrwania. Od wskrzeszenia Towarzystwa w 1814 roku zwanego drugą wiosną dzieje Zakonu przynoszą stabilizację i rozwój. Nowy okres obejmuje również XX wiek, odślaniając działalność Pedra Arrupe, czy jezuitów, którzy odegrali ogromną rolę podczas II Soboru Watykańskiego.

Ignacio Echániz czyni historię bardziej fascynującą pokazując ludzi z krwi i kości. Na zakończenie stawia intrygujące pytanie: a gdyby Towarzystwo przestało istnieć?